

Nominacja do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla w roku 2011

STEFAN

DA R D A

Czarny Wygon

POWIEŚĆ GROZY



STARZYŻNA

VIDEOGRAF

Czarny Wygon

STARZYŻNA

STEFAN

DARDA

Czarny Wygon

STARZYNA

VIDEOGRAF

Redakcja i korekta
Jadwiga Kwiecień

Projekt okładki
Marek J. Pivko {mjp}

Ilustracja na okładce
Dariusz Kocurek

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Grzegorz Bociek

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych
jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I w tej edycji, Chorzów 2012

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35
fax 32-348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2010
© Copyright by Stefan Darda

ISBN 978-83-7835-026-2

*Tylko trudne chwile powiedzą ci,
kim tak naprawdę jesteś.*
Franciszek Gielmuda

Przedmowa

Każdy miesiąc przynosi nowe znajomości, jest sprawcą wzajemnego stykania się ludzkich ścieżek. To fantastyczne, że niektóre szlaki w ten właśnie magiczny i niewytłumaczalny sposób łączą się, by potem już nie mieć ochoty na ucieczkę ku własnym celom.

Zdarzają się też szczęściarze, mający u swego boku przyjazną duszę już od pierwszego kroku postawionego na własnej drodze.

Należę do takich szczęściarzy.

Nie ma małych przyjaźni. Każda z nich jest wspaniała, niepowtarzalna, niedająca się zamienić na cokolwiek innego. Cieszę się jednak, że dane mi było posmakować także przyjaźni zbudowanej na najbliższych więzach krwi i każdemu życzyłbym, by spotkało go coś podobnego.

Pierwszego spotkania z moją Siostrą, Urszulą, nie mogę pamiętać. Pamiętam za to doskonale całe dziesięciolecie spędzone w przeświadczeniu, że jest ktoś, na kogo zawsze można liczyć, ktoś, kto sprawia, że świat wydaje się lepszy, bardziej przyjazny i łatwiejszy. Ktoś mądry, dobry i niezwykle wrażliwy.

Pamiętam też i ciągle czuję ból ostatnich lat. W połowie roku dwa tysiące czwartego świat mojej Siostry i jej Synów zachwiał się w posadach. Wszyscy wiemy, że nigdy nie będzie tak, jak przedtem.

Ale też nie chcę zapomnieć tego, co było później. Jestem szczęśliwy, że jestem bratem kogoś tak niesłychanie dzielnego, kogoś,

kto potrafił stawić czoła okrutnemu losowi i złapać go za gardło,
gdy była taka potrzeba.

Nie wiem, czy ja dałbym radę.

Tym bardziej jestem dumny i szczęśliwy, że mogę być blisko
kogoś takiego.

Moja droga Ulu!

Dedykuję Tobie tę książkę i mam nadzieję, że jej lektura spra-
wi Ci przynajmniej trochę przyjemności.

Dziękuję za to, że jesteś, i dziękuję za to, że zawsze ze mną
byłaś.

I proszę o jeszcze...

Podziękowania

Składałam gorące podziękowania osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Zarówno tym, pomagającym mi w jej redakcji, jak również tym, które dobrym słowem motywowały mnie do jej rozpoczęcia i ukończenia.

Raz jeszcze dziękuję, Jacku, za wycieczkę do Słonecznej. Tobie i Tobie, Mariuszu, za to, że jesteście ze mną każdego roku w Zwierzyńcu. Pamiętacie zapewne, że tam właśnie, podczas skąpanej w ulewnym deszczu, gorącej, pachnącej lipami, czerwcowej nocy, zrodził się pomysł na tytuł cyklu? Bez Was by go nie było.

Dziękuję też Tobie, Drogi Czytelniku. Skoro trzymasz w dłoniach tę książkę, to zapewne sięgnąłeś także wcześniej po „Słoneczną Dolinę”. Być może jesteś jedną z osób, które pytały mnie o datę wydania „Starzyzny”? Oto jest. Oddaję ją pod Twoją ocenę z obawą i nadzieją...

Byłbym szczęśliwy, gdyby nie zawiodła Twoich oczekiwań i chociażby na chwilę pozwoliła zapomnieć o tym, czego nie masz ochoty pamiętać.

S.D.

Mojej Siostrze, Urszuli

Prolog

Nawrot wyłączył silnik i odetchnął. Przez chwilę nie widział nic poza ciemnością i słyszał tylko dzwonienie w uszach, spowodowane nagłą ciszą w aucie. Zamknął oczy i rozsiadł się wygodnie w fotelu swojego fiata punto. Do północy było jeszcze sporo czasu.

Ruszył w drogę bezpośrednio po pracy, by mieć pewność, że zdąży dojechać bez stresującego pośpiechu. Na dodatek krajowa siedemnastka zaraz za rogatkami Warszawy zrobiła się nadspodziewanie pusta, więc jeszcze przed Zamościem mógł zatrzymać się na dłuższy odpoczynek. Gorąca herbata i marynowane śledzie z razowym chlebem sprawiły, że nabrał sił do dalszej jazdy. Zresztą, od tego postoju miał już przecież całkiem niedaleko.

Tak jak rok wcześniej przejechał przez Zwierzyniec, nie widząc w miasteczku żywego ducha. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie znów przebywa tę drogę na próżno, lecz nie potrafił inaczej. Nie dałby rady siedzieć w Wielki Piątek w swoim warszawskim mieszkaniu. Mijając Obrocz zadał sobie pytanie: „Jak długo jeszcze?” Nie potrafił odpowiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale sądził, że jeszcze bardzo,

bardzo długo. Może nawet do końca życia będzie przemierzał tę trasę właśnie w ten wyjątkowy dzień. To wszystko wydawało się kompletnie irracjonalne, lecz czuł coś w rodzaju obowiązku wobec Witka. Zresztą, i tak nie miał już z kim spędzać Wielkanocy.

Dzień, w którym Magda zginęła w płonącym samochodzie, wydawał się tak odległy, jak gdyby to zdarzenie miało miejsce w innym życiu, w całkowicie odmiennej rzeczywistości. Adam myślał o wypadku wiele razy, niemal nieustannie, jednak i tak śmierć żony niknęła w mglistej przeszłości. Wspomnienie tego zdarzenia wróciło na chwilę z całą mocą, gdy dowiedział się, kto był sprawcą tragedii, by później znów ukryć się w zakamarkach niepamięci.

Śmierć matki stała się kolejną traumą, z którą nie potrafił sobie poradzić.

Odeszła wieczorem, drugiego kwietnia dwa tysiące piętego roku, a więc prawie dokładnie w chwili, gdy umarł Jan Paweł II. Nawrot miał nadzieję, że w dalszą drogę ruszyli razem. Właściwie był tego pewien i tylko to stanowiło swego rodzaju niewielkie pocieszenie.

Wyjeżdżając z Krasnobrodu w końcu kwietnia dwa lata wcześniej, był przekonany, że wróci najwyżej za kilka dni, by spotkać się z Gielmudą. Sprawy związane z pogrzebem, a później brak chęci do czegokolwiek sprawiły, że wybrał się na Roztocze dopiero po połowie maja.

Pamiętał to dokładnie. Drzwi znów otworzyła mu matka Rafała.

— Przykro mi — rzekła, gdy o niego zapytał. — Wyjechał z córką i prosił, by nikomu nie przekazywać dokąd...

— Do Gorzowa? — zapytał wtedy Nawrot.

Doskonale pamiętał zaskoczenie malujące się w oczach kobiety.

— Tak, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Do widzenia panu.

Zamknęła drzwi, nim zdążył zapytać o cokolwiek więcej. Stał przez chwilę, zastanawiając się, czy nie zadzwonić ponownie, lecz ostatecznie dał spokój. W końcu, jakie to mogło mieć wtedy znaczenie? Witek i tak zniknął, a po lekturze tego, co napisał, można było się domyślić, gdzie przebywa.

Panującą wokół samochodu ciszę gwałtownie przerwał głośny dźwięk. Coś z hukiem uderzyło o dach auta, a Adam, wyrwany nagle z rozmyślań, drgnął w fotelu i rozejrzał się przestraszony.

Nie zwrócił wcześniej uwagi, że za szybami wzmagają się porywy wiatru. Przyzwyczajone już do ciemności oczy zarejestrowały świetliste plamy przesuwające się po leśnej drodze; księżyc tuż po pełni świecił jasno, skrywając się od czasu do czasu za pędzącymi po niebie chmurami, których cienie ślizgały się bezszelestnie po obłym kształcie samochodu. Wyraźnie widoczne za szybą kontury drzew zdawały się ruszać do gwałtownego tańca.

„To tylko spadająca gałąź” — pomyślał, uspokajając oddech.

Opuścił szybę po stronie pasażera i poczuł na twarzy ciepłe, wilgotne uderzenie powietrza. Był szósty kwietnia dwa tysiące siódmego roku. Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. Podobnie jak wielkopiątkowa północ.

Prawie rok wcześniej, czternastego kwietnia, też czekał w tym samym miejscu i wtedy nie wydarzyło się absolutnie nic. Nawrot nie miał zbyt wielkich nadziei, że tym razem będzie inaczej. Znów przymknął powieki.

Książka *Czarny Wygon* została wydrukowana i trafiła do księgarń w czerwcu ubiegłego roku. Adam długo bił się z myślami, czy w ogóle jest sens, by publikować przekazane mu notatki Witka. Cała sprawa wydawała się dość absurda, ale przecież jednak przyjaciel go o to poprosił, w dodatku zostawiając pieniądze na całe przedsięwzięcie. Wreszcie Nawrot stwierdził, że jeśli jego przyjaciel nie wróci w Wielki

Piątek dwa tysiące szóstego roku, to książka zostanie wydana niedługo potem.

Nakład nie był imponujący — ledwie półtora tysiąca egzemplarzy. Sprzedawało się to w miarę przyzwoicie, a co za tym idzie, sporo osób dowiedziało się o Starzyźnie. Internetowe wpisy na temat publikacji z uznaniem odnosiły się do wybujałej wyobraźni autora.

Adam był przekonany, że to nie była fikcja. Tym bardziej gryzł się, że książka za jego przyczyną nie pojawiła się wcześniej. Zdawał sobie sprawę, że przecież to opóźnienie mogło pogrozić Witka...

Teraz już nic nie mógł na to poradzić. Mógł co najwyżej w każdy kolejny Wielki Piątek czekać na drodze, prowadzącej z Guciowa do Słonecznej Doliny.

Zmęczenie dawało znać o sobie. Cały dzień w pracy i około trzystu kilometrów podróży sprawiły, że Nawrot rozpoczął walkę z sennością. Dobiegający z zewnątrz szum kołyszących się drzew nie ułatwiał zadania. Do północy była jeszcze prawie godzina, więc wreszcie uległ pokusie i postanowił chwilę się zdrzemnąć. Pomyślał, że dobrze byłoby nastawić alarm w komórce na dwudziestą trzecią pięćdziesiąt, lecz zanim zdążył to zrobić, zapadł w głęboki sen.

Tuż przed pierwszą naprzeciw maski auta stanął lekko przygarbiony mężczyzna. Nawet gdyby Adam w tej chwili się obudził, nie zobaczyłby jego twarzy; tarcza księżycy znajdowała się dokładnie na wprost przedniej szyby samochodu. Nawrot jednak spał, cicho pochrapując, nie mając pojęcia, że ktoś natarczywie mu się przygląda.

Wiatr nieco ustał i ciszę mąciły jedynie dobiegające gdzieś z oddali krzyki nocnych ptaków.

Mężczyzna ruszył w kierunku samochodu i nachylił się nad szybą, by dokładnie przyjrzeć się śpiącemu, po czym przeszedł na drugą stronę i spod pachy wyjął niewielkie, płaskie zawiniątko. Jeszcze przez jakiś czas stał, jakby się waha-

jąc, w końcu jednak włożył pakunek do środka przez uchylone okno, starając się nie obudzić śpiącego. Położył przedmiot na siedzeniu pasażera i cofnął się o kilka kroków. Zaraz potem, uważnie stawiając kroki, ruszył w gęstwinę, która przed chwilą znajdowała się za jego plecami. Każdy, kto choć trochę znał te okolice, wiedziałby, że nocny wędrowiec skierował się w kierunku Czarnego Wygonu.

Z oddali dobiegło jeszcze stłumione trzaśnięcie nadepniętej gałęzi, lecz dźwięk był zbyt cichy, by przerwać Adamowi sen.

Ocknął się, gdy zaczynało już dzień. Było mu zimno, więc natychmiast sięgnął do drzwi po przeciwległej stronie samochodu, żeby zamknąć okno. Niedługo potem niecierpliwymi ruchami wydobył płaski przedmiot z osłaniającego go materiału. Oczom Adama ukazał się brulion, dokładnie taki sam, jak ten dostarczony do Warszawy przez Gielmudę pod koniec marca dwa tysiące piątego roku.

Najpierw obejrzał go ze wszystkich stron, jakby obawiając się zajrzeć do środka, w końcu jednak przekartkował jego zawartość, a następnie otworzył na pierwszej stronie. Zanim zagłębił się w lekturze, rozejrzał się jeszcze wokół, nie dostrzegając niczego niepokojącego. Pokręcił z niedowierzaniem głową i włączył silnik, podkręcając maksymalnie ogrzewanie.

Zaraz potem cały świat przestał dla niego istnieć.

Rozdział pierwszy

1.

Spojrzałem na zegarek i okazało się, że Wielki Piątek dwa tysiące piątego roku rozpoczął się prawie półtorej godziny wcześniej. Nie mogłem w to uwierzyć, więc sprawdziłem ponownie. Wskazówki nie pozostawiały wątpliwości — była pierwsza dwadzieścia siedem.

Czas pędził na złamanie karku, przybliżając mnie nieuchronnie do poranka i tego, co postanowiłem. Tyle że z każdą chwilą miałem coraz więcej wątpliwości.

„Na szczęście nic mu jeszcze nie powiedziałem i wcale nie muszę tego robić” — przeszło mi przez myśl.

Panujące wokół ciemności i absolutna cisza sprawiały, że wyobraźnia mogła pracować na najwyższych obrotach. Jej oczyma zobaczyłem zagubioną pośród czasu i przestrzeni wieś, zamieszkaną przez ludzi od dziesięcioleci oczekujących z wytęsknieniem tego, aby minuty znów zaczęły bezlitośnie przybliżać ich do śmierci. To ponure miejsce, niepałające już słonecznego światła, otoczone było bezkresnymi połaciami lasów, w których czały się upiorne postacie wisielców, pozostających w zawieszeniu pomiędzy światem żywych i umarłych, czyhających tylko na to, aby kolejnych

nieszczęśników nakłonić do powiększenia grona potępionych na wieki.

„Wcale nie muszę” — znów zapewniłem samego siebie.

Zamknąłem oczy i zobaczyłem, jak ktoś z trudem wysiada z białego samochodu, stojącego na skraju Słonecznej Doliny. Pomimo nocy widziałem tego człowieka bardzo dokładnie. Lekko przygarbiony, ponad pięćdziesięcioletni mężczyzna, wyraźnie kuśtykając, ruszył w kierunku majaczących w oddali domostw. Nie był sam. Krok w krok towarzyszyła mu zakapturzona postać ubrana w coś, co z oddali wyglądało na zakonny habit.

Drgnąłem i rozejrzałem się wokół. Wizja była tak wyrazista, że zacząłem mieć wątpliwości, czy to nie był sen. Zegarek pokazywał pierwszą trzydzieści, więc nawet jeśli zasnąłem, to ledwie na chwilę.

Półsenne obrazy przedstawiały scenę, która miała się ziścić nie dalej, jak za niecałą dobę. Nie wiedziałem, czy obok kulejącego mężczyzny rzeczywiście pojawi się postać w kapturze, wiedziałem natomiast jedno: mężczyzna znajdzie się w Starzyźnie na własne życzenie, próbując ratować małą dziewczynkę — córkę kogoś, kogo jeszcze kilka tygodni wcześniej nawet nie znał. Miał ryzykować życiem i tym, że nigdy już nie wróci do świata, w którym się wychował i w którym zamierzał dopełnić swoich dni. Nazywał się Wiltold Uchmann.

Tak samo jak ja.

Byłem żalonym tchórzem i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Tyle że zupełnie nie było mi wstyd.

W pewien sposób otuchy w tej sytuacji dodawała mi świadomość, że niewielu ludzi, będąc na moim miejscu, czułoby coś innego. Co więcej, jakkolwiek absurdalnie jawiło się to w myślach, miałem wrażenie, że i tak zrobiłem wiele. Zdecydowałem o próbie pomocy i przedsięwziąłem pierwsze kroki, zmierzające do realizacji zamierzonego czynu. Zważywszy na okoliczności, to przecież było nie byle co.

Oparłem głowę na lewym nadgarstku, przez co słyszałem cichutkie tykanie sekundnika w moim staromodnym „Time-xie”. Od momentu położenia się do łóżka, wciąż byłem przeświadczony o tym, że to zrobię, że wkrótce rzucę na szalę wszystko, co mam, by pomóc Rafałowi, jednak wystarczyła mroczna wizja i kilka godzin spędzonych w ciemnościach, bym całkowicie zmienił swoją decyzję. To było ponad moje siły. Egoista, w ostatnich dniach drzemiący pod grubą warstwą wspaniałomyślności, wziął górę i przepędził precz za niego i wielkodusznego Witolda Uchmanna.

— I bardzo dobrze, że to zrobił — szepnąłem. — Mało brakowało, a nie byłoby już odwrotu...

Spłynęło na mnie poczucie ogromnej ulgi. Zdecydowanie łatwiej było być przestraszonym, dbającym tylko o własną skórę redaktorem średnio poczytnego czasopisma, który najlepiej się czuł, gdy opisywał historie stukniętych starszerek, słyszających „jakieś dziwne szuranie”.

Zacząłem wreszcie zasypiać. Pełni spokoju sumienia dopełnił fakt, że podczas nieobecności Rafała (czyli być może do końca życia) będę się opiekował jego małą córeczką, opłacę jakąś dobrą szkołę. Mogę też pomóc w inny sposób... Nie bardzo wiedziałem, w jaki, jednak rozważanie tego problemu przerwał mi...

Czułem się dziwnie, siedząc na kolanach tego człowieka, on jednak lewą ręką przytrzymał mnie dość mocno na wysokości klatki piersiowej, więc nie miałem wyboru. Od czasu do czasu miarowo poruszał nogą, sprawiając, że delikatnie podskakiwałem. Czułem na twarzy jego ciepły oddech, pachnący dymem papierosowym, jednak — o dziwo — nie odczuwałem dyskomfortu. Powiedziałbym nawet, że było przyjemnie i bezpiecznie.

Spojrzałem w dół.

Na nogach miałem krótkie spodenki, a moje małe stopy obute były w staromodne, dziecięce sandałki. Gdy wyciągnąłem przed siebie ramiona, zobaczyłem pulchne rączki i piąstki,

które chwilę potem zostały przykryte sękatą, pokrytą wątrobowymi plamami dłonią.

Widziałem już gdzieś podobną scenę, miałem ochotę odwrócić się i sprawdzić, kto jest tajemniczym starcem, lecz siedziałem cicho. Bałem się, że cała ta magia może nagle prysnąć.

— Mówiłem ci już, Wituś, że czas to wariat?

— Tak, dziadku — odrzekłem piskliwym głosikiem i w tej samej chwili zorientowałem się, na czyich kolanach siedzę. — Mówiłeś, że stary i zwariowany — dodałem.

— Racja, smyku — pradziadek Gielmudy poruszył się lekko. — Dobrze, że mnie słuchasz. I powiem ci jeszcze jedno...

— Tak, dziadku...? — zawiesiłem głos, stawiając na końcu znak zapytania.

— To wcale nie jest takie złe.

Po chwili milczenia dodał:

— Różne mnie losy w życiu spotkały, ale śmierć wcale nie była najgorszą z nich...

Poczułem, jak skóra cierpnie mi na karku, a dziecięce mięśnie prężą się, jakbym szykował się do ucieczki. Doskonale to wyczuł, bo w tej samej sekundzie przycisnął mnie mocniej do siebie.

— Nie bój się — powiedział cicho. — Dlaczego się boisz?

— Nie wiem, dziadku...

— Widzisz, Wituś, nie powinienes się bać zmarłych. Oni już wszyscy są tam, skąd dzisiaj do ciebie przyszedłem, i wiesz co? Wcale nie mają ochoty tutaj wracać.

— Jesteś duchem?

Zastanowił się i odparł:

— Sam nie wiem. Pewnie tak.

— Ale ja się boję duchów, dziadku. — W tej chwili nie miałem już ochoty się obejrzeć. Oczyma wyobraźni widziałem potworną, zdeformowaną twarz zmarłego przed laty starca.

— Niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie... — powiedział cicho. — Gorszi są inni... Ci, którzy nie całkiem jeszcze umarli.

— Tacy, jak ci, co się powiesili w Starzyźnie? — Sam się zdziwiłem, że zadałem to pytanie.

— Tak, smyku. Oni są bardzo źli i niebezpieczni. Ale wiesz kogo powinienes się jeszcze bać przynajmniej tak samo, jak ich?

Nie znałem odpowiedzi, więc nie odezwałem się ani słówkiem.

— Tylko trudne chwile powiedzą ci, kim tak naprawdę jesteś. Powinienes się więc bać samego siebie... Rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak, dziadku — przytaknąłem skwapliwie, tak naprawdę nie mając zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

— To dobrze — rzekł. — Teraz wyjdę na zewnątrz, żeby sobie zapalić. Teraz już mogę palić bez obaw, że przez to zachoruję.

Roześmiał się cicho, łagodnie zdjął mnie z kolan i posadził na swoim miejscu. W jego twarzy nie było nic strasznego. Spojrzał mi w oczy pogodnym, ciepłym wzrokiem, zmierzwił mi włosy i zostawił samego przy piecu.

Miałem nadzieję, że wróci, ale się tego nie doczekałem.

... głęboki sen.

Głęboki i bardzo dziwny. Jeśli miałbym go w jakiś sposób określić, użyłbym przymiotnika „lepki”. Słodkawy, pachnący dymem i — co najważniejsze — wciągający i dobry jak... Trudno powiedzieć. Może miód?

W każdym razie z kolan pradziadka Gielmudy wracałem jak z bardzo dalekiej podróży. Zawieszenie pomiędzy przywidzeniem a pełną świadomością trwało nieznośnie długo. Dziesiątki minut, a może nawet kilka godzin. Wiedziałem już, że znów jestem w domu Rafała, że leżę na łóżku, czując potworne zawroty głowy, i... nie potrafiłem się poruszyć.

„Czy to tak wygląda wylew?” — zapytałem w myślach.

Wpadłem w panikę. Ręce, nogi, nawet powieki... nie poddawały się mojej woli. Myśli galopowały jak oszalałe, a ja nie mogłem nawet pociągnąć nosem. Chciałem krzyknąć, lecz to też mi się nie udało.

Przez zamknięte oczy wpadało coraz więcej światła; wiedziałem, że dnieje. Pozostało mi tylko czekać na to, aż obudzi się Rafał i znajdzie mnie w tym stanie.

Nagle ktoś się nade mną pochylił. Byłem tego pewien; wyraźnie poczułem w powietrzu znajomy zapach tytoniu.

— Pomyśl o tym.

To było wszystko, co szepnął mi do ucha. Znów zostałem sam.

Z braku lepszego zajęcia po wielokroć przypominałem sobie cały sen, każdy gest i każde usłyszane słowo. Wreszcie chyba zrozumiałem i ktoś wyłączył zawroty głowy. Chciałem otworzyć oczy, lecz była to kolejna nieudana próba. Czułem wielką senność.

— Mówiłem ci już, że czas to wariat?

Znów był obok.

— Tak, dziadku, ale teraz bardzo chce mi się spać — szepnąłem.

— To śpij, Witek, śpij. I pomyśl o mnie rano.

Usłyszałem oddalające się kroki, lecz po chwili wrócił raz jeszcze.

— O jednym zapomniałem. Pamiętaj, nigdy ci nie dam spokoju, jeśli tego nie zrobisz... A wiesz chyba, co dla mnie oznacza słowo „nigdy”...?

*

Wstałem z łóżka, gdy dzień był już w pełni.

Nic nie wskazywało na to, że nocne zdarzenia mogły być przynajmniej w części rzeczywistością. Byłem rześki i wypoczęty. Koszmary z wolna zaczęły się chować w dolnych szufladach wspomnień.

Usłyszałem, że Rafał krząta się w kuchni, więc ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Zostałem go akurat w momencie, kiedy siadał za stołem z kubkiem kawy zaparzonej po turecku. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał.

— Chcesz kawy? — zapytał.

— Nie, dzięki. Nie mam ochoty. Chyba wolę herbatę.

Chciał wstać, lecz stwierdziłem, że sam sobie poradzę. Niedługo potem opierałem się o kuchenną szafkę z herbatą w ręce i obserwowałem jego profil. Od poprzedniego wieczoru rysy Rafała wyraźnie się wyostrzyły. Policzki miał zapadnięte, co sprawiało, że jego nerwowy tik był wyraźniejszy niż zwykle. Siedział przed stygnącą kawą, krzyżując przed nią przedramiona. Przygarbiona sylwetka sprawiała wrażenie, że dźwiga na plecach wszystkie troski tego świata. Pomyślałem, że chyba nie tylko tego...

Nagle jego usta wykrzywił grymas, który pierwotnie miał być prawdopodobnie uśmiechem.

— Pamiętasz, jak w pamiętniku pisałem o moim pradziadku? — Spojrzał w moim kierunku. Jego oczy lśniły jak w gorączce, lecz z ulgą dostrzegłem w nich pogodnie rozbłyśki.

— Tak.

— Śnił mi się dzisiaj.

Poczułem, że nogi lekko się pode mną uginają, więc na wszelki wypadek usiadłem naprzeciw Gielmudy.

— Wiesz, to dziwne... — ciągnął. — Dałbym sobie głowę uciąć, że nie zmrużyłem w nocy oczu. Wydaje mi się, że pamiętam każdą minutę, ale chyba jednak musiałem na chwilę zasnąć.

Nie wytrzymałem jego spojrzenia i uciekłem wzrokiem w kierunku okna. Tak naprawdę nie chciałem, żeby Rafał opowiadał mi swój sen i miałem nadzieję, że moje zachowanie potraktuje jako brak zainteresowania. On jednak mówił dalej:

— To było cholernie... — szukał przez chwilę słowa — cholernie rzeczywiste. Wszystko działo się w moim pokoju, on wszedł cicho i usiadł obok mnie. Była noc. Siedział kilka minut bez słowa, a potem mi powiedział, żebym się nie bał i że wszystko będzie dobrze.

Sięgnął po kubek i upił kilka łyków.

— I już? To wszystko? — zapytałem, patrząc znów w jego stronę.

— Właściwie tak... — Tym razem to on odwrócił głowę.
— Wstał i wyszedł.

Rafał siedział, wciąż lekko się uśmiechając, a ja czułem ulgę, że jego sen tak właśnie wyglądał. Bałem się czegoś o wiele gorszego, właściwie nawet nie potrafiłem określić, co to mogło być.

— Tylko... — odezwał się znów. — Tylko przed wyjściem powiedział coś jeszcze...

— Co takiego? — Poczułem rosnący w gardle strach.

— A, nie... to nieważne — odrzekł i spojrzał na zegarek.
— Czas na mnie. Został mi już przecież tylko jeden dzień.

Odsunął krzesło i wziął kubek do ręki, którą przytrzymałem gwałtownym ruchem.

— Czy powiedział coś o mnie? — Mój głos zabrzmiał chyba zbyt natarczywie.

— Witek, to tylko sen... Daj spokój...

— Powiedział, prawda?

Rafał przyglądał mi się uważnie. Byłem pewien, że walczy z myślami, czy odpowiedzieć.

— Najpierw mnie zrugął, że nie jestem ze swoją córką, bo tam jest moje miejsce, a nie w domu, zwłaszcza gdy jest chora...

— A potem? — lekko poluzowałem uchwyt, zdając sobie sprawę, że ściskam przedramię Rafała zbyt mocno.

Pokręcił głową i machnął lekceważąco wolną ręką.

— Potem powiedział, że to nic nie szkodzi, bo i tak nie będę się z nią musiał rozstać w najbliższym czasie.

Wstał i zaniósł kubek do zlewu. Znów poczułem ulgę. Usłyszałem, jak wychodzi z kuchni, lecz nagle przystanął.

— Wiem, że to idiotyczne — usłyszałem zza pleców — ale wiesz, co powiedział?

Milczałem.

— Faktycznie, powiedział coś o tobie. Tuż przed wyjściem zapewnił mnie, że to ty zamiast mnie pojawisz się w Starzyźnie...

2.

Wcale nie zamierzałem się tam pojawiać.

Owszem, nocne wydarzenia wciąż wydawały mi się nadzwyczaj realistyczne, a wspomnienie starca tak wyraźne, jak pozostały pod powiekami wizerunek mojego gospodarza w chwilę po tym, gdy wyszedł z domu, aby jeszcze trochę pobyc z córką. Nie czułem się z tym wszystkim komfortowo, niemniej jednak miałem też swój rozum, którego posłuchałem, podejmując ostateczną decyzję o rezygnacji z zastąpienia Rafała w jego misji.

Stałem w oknie i gapilem się na przejeżdżające ulicą samochody i na przechodniów, zmierzających do centrum miasteczka, by przed świętami zrobić ostatnie zakupy, a może w ostatniej chwili pojednać się z Bogiem. Stary mężczyzna nie dawał mi jednak spokoju. Mimo woli zastanawiałem się, czy to możliwe, że któraś z osób spotkanych podczas pracy w dziale opisującym nadnaturalne zjawiska mogła choć w minimalnej części mieć rację.

Ileż to razy spotykałem się z relacjami o powracających zmarłych, którzy nie mogą pożegnać się z tym światem. „Mają tu widocznie jeszcze coś do załatwienia” — przekonawali mnie specjaliści od dusz błądzących gdzieś pomiędzy różnymi wymiarami.

„Ale przecież pradziadek Rafała powiedział mi zupełnie coś innego” — pomyślałem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, co dokładnie, lecz na pewno coś innego niż to, że nie odszedł do świata zmarłych.

— Oni wszyscy już są tam, skąd dzisiaj do ciebie przyszedłem — wypowiedziałem te słowa na głos, starając się upewnić, czy tak właśnie brzmiały. — I wcale nie mają ochoty tutaj wracać...

Tak, dokładnie taki był sens tego, co usłyszałem w nocy.

— Po co więc wróciłeś? — zapytałem szeptem.

Na zewnątrz błysnęło słońce i pastelowym blaskiem podkreśliło irracjonalność lekkiego dreszczu, który wyraźnie czułem na plecach. Odetchnąłem głębiej i postanowiłem skupić uwagę na ludziach mijających dom.

Bez żenady oddałem się tej czynności, ponieważ nie mogli mnie widzieć, ukrytego za drobnymi oczkami śnieżnobiałej firanki. Tuż za ogrodzeniem przedefilowała młoda matka z wózkiem, zaraz za nią, trzymając się za ręce, przeszła para starszych ludzi. Prawie zniknęli mi z pola widzenia, gdy minęli zmierzającego w przeciwnym kierunku starszego człowieka. Był spory kawałek od mojego okna, a mimo to odniosłem wrażenie, że się uporczywie w nie wpatruje. Choć przygarbiony, zbliżał się dość żwawym krokiem i wciąż nie odrywał wzroku od... nie, on nie patrzył w okno. Patrzył mi prosto w oczy.

Poznałem go, zanim dotarł do furtki. Zatrzymał się przy niej, uśmiechnął i podniósł rękę w przyjaznym geście. Nie miałem wątpliwości. Wspomnienia minionej nocy były jeszcze zbyt żywe.

Franciszek Gielmuda postął chwilę, jakby oczekując, że odwzajemni gest; gdy się tak jednak nie stało, pchnął furtkę i ruszył w kierunku domu. Usłyszałem skrzypnięcie zawiasów i szcęk metalowych drzwiczek. Stałem jak zahipnotyzowany. Gdy wreszcie zniknął mi z pola widzenia, zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy drzwi wejściowe są zamknięte.

„Duchy nie mają problemów z zamkami” — przeszło mi przez myśl, jednak mimo to z ulgą przypomniałem sobie, że Rafał wychodząc przekręcił klucz od zewnątrz.

Odrzuciłem się plecami do okna i czekałem.

Zza pleców dobiegł warkot silnika przejeżdżającego samochodu. Potem drugiego, natomiast w najbliższym otoczeniu domu panowała cisza.

Był jasny, słoneczny dzień, a ja stałem trzęsąc się jak w febrze. Ciekawe, co bym zrobił, gdyby teraz ktoś znienacka zapukał w szybę, która znajdowała się tuż za mną? Uznałem, że choć z moim sercem nie jest najgorzej, mogłoby tego nie wytrzymać. Cholernie się bałem, lecz i tak zdecydowałem się popatrzeć za siebie.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że znów zacząłem oddychać głębiej. Ani za oknem, ani na chodniku nie było nikogo. Przejeżdżający ulicą chłopak spojrzał w moim kierunku obojętnie, po czym przyśpieszył stając na pedałach. Byłem spokojniejszy, to prawda, ale do całkowitej równowagi brakowało mi jeszcze bardzo wiele.

Usiadłem przy stole i zacząłem zbierać myśli. Starszy człowiek nie był przywidzeniem — to pewne. Nagle uświadomiłem sobie, że przecież nie mam bladego pojęcia, jak wyglądał pradiadek Gielmudy. Znałem go tylko z dość pobieżnego opisu w Rafałowym brulionie...

Pokręciłem głową i zacząłem się zastanawiać, kim mógł być ten starszy jegomość, tak podobny do starca z nocnego koszmaru. Był prosty sposób na poznanie tej zagadki. Wystarczyło wyjść na zewnątrz i spytać, po co przyszedł. Nawet potem nie próbował zapukać.

Opuściłem kuchnię i stanąłem w przedpokoju. Drzwi do wiatrołapu były otwarte na oścież, zupełnie nie tak, jak zostawiłem je po wyjściu Rafała. Cały korytarz zalewało słoneczne światło, a drzwi zewnętrzne delikatnie poruszały się pod wpływem słabych podmuchów wiatru.

*

Trudno powiedzieć, jak długo wpatrywałem się w prowadzący na podwórze jasny prostokąt. Bałem się nawet do niego podejść.